

Angielski sen – 6

27 września 2018

Znowu wziąłem tydzień urlopu. Bezpłatnego oczywiście. Musiałem przylecieć do Polski i pozałatwiać kilka spraw. Najważniejszy był dentysta. Z zupełnie niezrozumiałych przyczyn wypadł mi ząb. Przyczyna jest o tyle niezrozumiała, że dotychczas traciłem zęby w pijackich bójkach, lub podczas pijackich spotkań z płytą chodnikową.



Od jakiegoś czasu unikam jednak ulicznych mordobić. Wydaje mi się, że facet w moim wieku z poobijaną gębą, podbitym okiem i świeżo złamanym nosem, to dosyć idiotyczny widok. Przyczyny utraty tego zęba nie znam, mam jednak nadzieję, że to nie jest szkorbut, czarna ospa, trąd, dżuma albo cholera. Nie mogę tego jednak wykluczyć, mieszkam obecnie w kraju, gdzie sytuacje z naukowego punktu widzenia niemożliwe, są na porządku dziennym.

Żeby złapać jakieś choróbko, wystarczy przejść się po magazynach, gdzie rozdzielamy produkty spożywcze do jednej z najbardziej renomowanych i najdroższych sieci handlowych. Chodząc po swojej hali przypomina mi się film „Pancernik Potiomkin” i scena z mięsem pełnym robaków, gdzie lekarz czy weterynarz usiłuje wmówić marynarzom, że jest to doskonałej jakości jedzenie.

Różnica jest taka, że ci marynarze widzieli te robaki, a potencjalni kupcy renomowanego marketu nie mają pojęcia skąd wygrzebane jest ciastko, które za chwilę podadzą dzieciakom.

Większość Europejczyków woli robić zakupy w sterylnych marketach niż w tureckich, czy hinduskich sklepach. Bo wiadomo z „białorasowego” punktu widzenia „ciapaty” lub „czarnoskóry” to oczywiście brudas. Więc i jedzenie musi być skażone. Nie wiem skąd wzięło się u rodaków to przekonanie. Wielokrotnie jeździłem do pracy z Hindusami, Pakistańczykami czy Banglijczykami i jedyny zapach jaki był wyczuwalny w samochodzie, to aromat choinki zapachowej. Bardzo ciekawą choinkę ma jeden z moich kolegów z nocnej zmiany – Abdoul z Dżammu (rejon Kaszmiru). Na jego odświeżaczach powietrza są zapisane sury koranu. Na co dzień mieszkam z Albańczykami i Cejlończykiem ze Sri Lanki. Ludzie ci naprawdę nie mają problemu z higieną. Będąc teraz w Polsce przejechałem się kilka razy busami. Smród niemytych ciał był odrzucający.

Zaryzykuje twierdzenie, że o wiele bezpieczniej jest robić zakupy w sklepach prowadzonych przez Turków czy Hindusów, niż w najlepszych i najdroższych sieciowych marketach.

W sklepie faktycznie estetyka i higiena jest na bardzo wysokim poziomie, obsługa podaje wędlinę w specjalnych rękawiczkach, towar kusi pięknym i świeżym wyglądem, estetycznie poukładany w sterylnych opakowaniach i na perfekcyjnie umytych ładach chłodniczych. Zapakowane higienicznie owoce przyciągają swoim pięknym wyglądem. Nikt nie zwróci uwagi na naderwaną krawędź czy lekko powiększona dziurkę. Kilka godzin wcześniej czyjś brudny paluch wygrzebał sobie kilka malin, jagód czy truskawek. Są patenty, by zrobić to nie niszcząc opakowania. Podobnie z różnego rodzaju puddingami czy deserami. Prawie w każdym deserku był czyjś oblizany paluch.

Jedzenie, które upadnie na posadzkę, nierzadko w płamę oleju, wyciekłą z nieszczelnego widlaka, wrzucamy z powrotem do koszyka, a klient, który brzydzi się kupować w hinduskim lub

tureckim sklepie, przekonany o doskonałej jakości produktów, jedzie do renomowanego marketu (nie tam jakiegoś Lidl'a czy Tesco) i pakuje do koszyka produkty, w których zanurzyły się palce ludzi wszystkich 69 narodowości (z tylu krajów pracują ludzie w mojej firmie), przekonany o sterylności produktów. Kupuje wędlinę, którą wcześniej pakowacz kopnął pod paletę, ktoś inny wrzucił do worka ze śmieciami, kliner albo miotłą, albo ręcznie wygrzebał ten produkt i zapakował z powrotem do pudełka. Z kanapkami, serem, ciastkami, owocami i warzywami jest podobnie. Z tego, co wiem, w UK nie ma odpowiednika polskiego SANEPIDU. W przeciwnym razie firma zostałaby zamknięta już na samym początku funkcjonowania. Niestety, nie mogę jeszcze podać jej nazwy i nazwy sieci sklepów, które zaopatrujemy. Na wszystko jednak przyjdzie czas, dowiecie się, w których marketach lepiej nie kupować na przykład wina.

Toalety w magazynach to również ewenement. Po pierwsze jest ich mało – raptem trzy na kilkuhektarowe magazyny. Z tych trzech, podczas sprzątania, jedna lub dwie są wyłączone z użytku. Trudno więc dziwić się człowiekowi, którego dopadła biegunka, ledwo dobiegł do toalety, która okazała się zamknięta. Skorzystał z pierwszej lepszej możliwości, czyli ze pudełka z markowym winem. Ktoś inny nie zdążył nawet dobiec do jakiegokolwiek pudełka i grubszą potrzebę fizjologiczną załatwił na schodach. To akurat ucieszyło większość pracowników, ponieważ człowiek ów zasrał schody tuż obok office'u głównych managerów. Próbowali znaleźć winowajcę poprzez system kamer, ale sprzęt ten jest skalibrowany na pracownika, który po kryjomu zjada batonik.

Wracając jednak do mojej zimnej hali i tego nieszczęsnego szkorbutu, cholery, ospy czy dżumy.

Już od samego patrzenia można nabawić się jakiejś choroby. Wydaje mi się, że nasz magazyn nie jest ewenementem i w większości, jeśli nie we wszystkich, tego rodzaju halach czystość jest są na podobnym poziomie.

Świetnym przykładem higienicznej świadomości pracowników jest pewien Polak o ksywce Macierewicz. Pisałem kiedyś o nim na FB, to typowy Bronek Talar – 150 procent normy to jego codzienność. Głupota polega na tym, że firma płaci bonusy jedynie do 110 procent. Jednak przez takich jak on, normy wciąż są zawyżane. Kilka lat temu wynosiła ona tysiąc spakowanych produktów. Gdy Wielka Brytania otworzyła rynek pracy, napływająca fala Polaków i Rumunów, nie bacząc na zdrowie i strzelające jak korki szampana dyski w kręgosłupach, chcąc zaimponować brytyjskim managerom dawała z siebie wszystko, przekraczając wszelkie granice normy. Do tej pory, gdy pojawia się grupa nowych pracowników, to wyglądają jak roboty sfilmowane w przyspieszonym tempie, z obłędem w oczach pakujący kejdże z prędkością światła. Skończyło się tym, że obecnie norma wynosi dwa tysiące spakowanych produktów. Czyli drugie tyle. Pół biedy, jeśli trafiają się komuś ciastka lub kanapki. Gorzej gdy wrzucają go na pakowanie mleka lub napoi.

Wracając jednak do wspomnianego Macierewicza. Facet twierdzi, że jest ze służb specjalnych, a ponieważ wykończył Caracale, to w obawie przed zemstą byłego ministra obrony narodowej – stąd wzięła się ta ksywka – ukrył się na tym brytyjskim zadupiu.

Facet ma racjonalne podejście nie tylko do limitów, ale również do higieny. Nigdy nie ściąga rękawiczek. Wiadomo, rękawiczka chroni ręce przed pobrudzeniem i jednocześnie chroni pokarm przed jedzeniem brudnymi rękami. Problem jednak polega na tym, że są to te same rękawiczki.

W zasadzie jestem w stanie go zrozumieć. W rękawiczkach idzie do toalety, niezależnie za jaką potrzebą. Słusznie, jeśli ktoś z czytelników był kiedyś w Anglii, to wie jak te ich toalety wyglądają. Staram się odwiedzać to miejsce jak najrzadziej, bo już z wejścia mam odruch wymiotny. Chroni się więc przezorny Macierewicz przed bakteriami coli nie zdejmując rękawic.

Ponieważ rozsądnie też gospodaruje czasem, do toalety chodzi

tuż przed przerwą na lunch. Prosto z kibla idzie do kantyny, odgrzewa w mikrofalówce kurczaka, bierze w garść, nie za kość, czy końcówkę, tylko wpycha w usta dłonią odzianą w tę samą rękawiczkę. I słusznie, przecież wiadomo, że gołymi rekami jeść nie należy.

Dla przeciętnego Polaka, Wielka Brytania to kraj absurdów. Zapewne podobnie myślą o Polsce Anglicy. Teraz jednak, chcąc nie chcąc, musiałem na chwilę przylecieć do kraju.

Wizyta u angielskiego stomatologa jest zbyt droga. Dlatego zdecydowałem się na przylot. Przy moich zarobkach – 280 funtów tygodniowo – z czego połowę pochłania mieszkanie. Nawet bilet na samolot – 50 funtów – i kilkaset złotych zostawione w polskim gabinecie było – poza moim finansowym zasięgiem. Takie pieniądze mogłem jednak pożyczyć. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą wszystkie swoje oszczędności. Przez pół roku legalnej pracy na pełnym etacie wylądowałem w Modlinie z niebagatelną kwotą 22 funtów i siedemdziesięciu pensów.

Po dwóch godzinach lotu tanimi liniami spadłem wreszcie na pas startowy w Modlinie. Spadłem to właściwe słowo, bo w żaden sposób lądowaniem nazwać tego nie można. Zbliżając się do pasa, tuż nad płytą lotniska, pilot rozkołysał samolot w taki sposób, że wyglądało jakby skrzydło miało zaraz zahaczyć o ziemię. W oczach pasażerów widziałem przerażenie, niektórzy ukryli twarze w dłoniach, inni skuleni w pozycji embrionalnej schowali głowy pomiędzy kolanami. Rozkołysana maszyna, pieprzona o pas z takim impetem, że aż zadzwoniły zęby przerażonych pasażerów. Przez chwilę odbijał się jeszcze dwa czy trzy razy od pasa. Zupełnie jak dziecięca piłeczka z kauczuku.

Zastanawiałem się nawet czy gdy wymienię te dwadzieścia dwa funty w kantorze na złotówki wystarczy mi na bilet do Puław. Do Puław dojechałem, a gdy tylko pojawiłem się na osiedlu, wzbudziłem lekką sensację wśród moich dawnych kumpli i sąsiadów – postaw piwo – to były pierwsze słowa które padły

pod moim adresem – nie mam kasy – odpowiedziałem

Jak to nie masz, przecież pracujesz w Anglii – usiłowali wyciągnąć kilka złotych. Upierałem się jednak przy swoim. Oczywiście nie uwierzyli, że przyleciałem praktycznie bez grosza i poobrażani poszli żebrać pod markety. Wieść o moim powrocie, lotem błyskawicy rozeszła się wśród stałych bywalców „podblokowych” ławek, pierwszego dnia domofon dzwonił praktycznie non stop, a ja za każdym razem tłumaczyłem, że jestem bez forsy.

Kilka tygodni temu minęła też karencja ostatniej mojej wszywki. Nie czuje wprawdzie jakiegoś silnego parcia na butelkę, ale jestem doświadczonym nałogowcem i wiem jak podstępny bywa głód alkoholowy. Wszywka jest moją asekuracją. Taki bezpiecznik i dodatek do terapii. Koło ratunkowe w momentach kryzysu. Dotychczas się sprawdzało, a zaszywałem się już jedenaście razy.

Wróćmy jednak do zgromadzonego przeze mnie majątku. Dwadzieścia dwa funty i kilkadziesiąt pensów to nie jest oszałamiająca kwota jak na półroczną harówkę. Nie chodzę po sklepach, nie kupuję żadnych sprzętów, pracuje na starym laptopie, a ubierania przywożę z Polski i kupuję w sklepach, gdzie organizują obniżki, lub w lumpexach. W Anglii kupuję jedynie jedzenie, a tytoń i papierosy z przemytu. Nie chodzę na piwo, nie pije wódki, nie palę zioła ani nie kupuje koksu. Nie mam pojęcia, jakim cudem od piątku do środy – czasami czwartku wydaję sto pięćdziesiąt funtów, które zostają mi po opłaceniu mieszkania. Jedynym moim szaleństwem jest śniadanie i obiad w Janny's Cafe oraz espresso w Coście, gdy czekam na swój shift. To szaleństwo kulinarne uprawiam od piątku do środy lub czwartku – czyli do czasu gdy mam jeszcze pieniądze.

Nie dziwiło mnie to, gdy mieszkałem jeszcze w Luton. Przez jakiś czas utrzymywałem dwóch poznanych tam kolegów. Bezdomnego Rosjanina z Kurska i bezrobotnego Marka spod Krakowa.

Zawsze idąc na obiad zabierałem ich ze sobą, a na odchodne dawałem im po kilka, kilkanaście funtów.

Marek mieszka w Luton od piętnastu lat. Chłopak – podobnie jak ja – ma problem alkoholowy. Utrzymuje się z ulicznego „co łaska”. Pomyślałem więc, że zaryzykuję i pogadam w swojej firmie czy nie przyjęliby go do roboty.

Ponieważ ręk do pracy ciągle brakuje, agencja bardzo chętnie przystała na tę propozycję. Kupiłem mu bilety na autobus, pojechaliśmy i załatwiliśmy wszystkie formalności. Następnego dnia miał się stawić już w pracy. Wprawdzie pierwszy tydzień jest tzw. treningiem, czyli zwykłym szkoleniem, ale płacą jak za normalną pracę. W przeddzień szkolenia, spotkaliśmy się wieczorem i dałem mu kolejne dziesięć funtów na bilet. Jechałem na nocną zmianę, więc pomyślałem, że rano i tak się spotkamy, a ja będąc w pracy pogadam z ludźmi i załatwię mu transport. Jeśli nic by z tego nie wyszło, to musiałbym mu dać kolejną dychę na powrót do Luton. Liczyłem się nawet z tym, że będę musiał kupować mu bilety do pierwszej wypłaty. Dycha w jedną stronę. Transport załatwiłem mu jednak bez problemu, poczułem więc ulgę. Dla wyjaśnienia, nie kierowałem się żadnym altruizmem, traktowałem to jako sztafetę.

Gdy przyleciałem do Anglii dokładnie tak samo zajął się mną Jarek. Pozałatwiał mi wszystko, łącznie z mieszkaniem. Pomoc, która zaoferowałem Markowi, była zwykłą spłatą długu – sztafetą.

W dniu, gdy zaczynał trening, czekałem na niego pod zakładem. Nie przyjechał. Telefon miał wyłączony. Gdy wreszcie udało mi się do niego dodzwonić, ewidentnie pijackim głosem usiłował wmówić mi, że dziesięć funtów nie wystarczyło na bilet, dlatego nie przyjechał. Wiedziałem że kłamię, bo wielokrotnie jeździłem tą trasą i niezależnie czy jechałem pociągiem i autobusem, czy autobusem z przesiadką w drugi autobus, cena biletu wychodziła między 8.50, a 9.20 funta.

Jednak szansy na kontrakt nie ma.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info